Rozmaitości

Dnia 28. lipca **Nr 30.** 1838 roku.

DESZCZ I POGODA.

Z francuzkiego Justina Gensoul.

(Dokończenie.)

Łatwo sobie wnieść można, że tak długo oczekiwany obiad dosyć smutno się odbył. Panna Celestyna była w humorze gospodyni, któréj pomimo wszelkie staranie nic się nie powiodło: pieczyste było przypalone, legomina przydymiona. Chciała się ciasteczkami popisać, ale niecierpliwość jéj brata sprawiła, że nie były pulchne. Byłto dla niéj dzień prawdziwie feralny. Pana Pomereuil zachowanie się było widocznie obojętne, pan Gervais nie mówił ani słowa. Co do Gustawa, ten w swoim staroświeckim ubiorze rady sobie dać nie umiał, tém bardziéj, iż wiedział, jak się w nim śmiésznie wydaje. Kilkakrotnie zabiérał się powiedziéć coś przyjemnego swéj narzeczonéj, ale słowa marły mu w ustach. Wolał raczéj milczéć; czuł bowiem, iż wszystko, co jéj powie, śmiésznym się wyda.

Co nareszcie biédnego Gustawa do ostatka zmieszało, byłto wyraz wzroku, którym Klara ukradkiem na niego poglądała.

Młoda dziéwczyna ta nie była wprawdzie romansowego sposobu myślenia, wszelako mały romans ułożyła sobie w głowie. Aż oto obecność kochanka nie miała nic w sobie, coby się z jéj urojeniem zgadzało. Jéj wyobraźność usiłowała nadaremnie urobić sobie inaczéj cokolwiek obraz młodego człowieka, którego piérwej tak kształtnym widziała. Teraz on stoi przed nią, widzi go — ale w jakiéjże postaci! By go poznać, trzeba było wpatrzyć się w niego z uwagą, a piérwszy rzut oka dziéwczyny jest za zwyczaj pokwapny i nie daje czasu do rozważania. Klara była niespodzianie zmieszana, przelękniona i w swéj pochlebnéj nadziei zawiedziona.

Pan Gervais, który wszelkiéj usilności przykładał, by utrzymać rozmowę pomiędzy osobami zostającemi w złym humorze, zaczął po stole chwalić głos panny Klary. Mówił, iż wspominał o jéj pięknym talencie przed swoim przyjacielem, i że tenże bardzo uradowanym będzie, gdy ją spiéwającą usłyszy. Klara czekała tylko na wezwanie Gustawa. Na nieszczęście Gustaw, który sam był muzykiem znakomitym, od niczego w świecie nie miał tak wielkiego wstrętu, jak od muzyki na lichą stopę; a najszczególniéj nie lubił spiéwu panien po domach prywatnych, które w zarozumieniu swojéj doskonałości, drą niemiłosierdnie uszy poczciwych ludzi. Stał więc obojętnie, nie rzekłszy ani słowa, mimo mrugań i skinień pana Gervais.

Pan Pomereuil żadnego nie szukał w tém zaszczytu, iż sam był miłośnikiem muzyki, ale dumnym był z talentu swojéj córki. Dlatego niegrzeczność Gustawa bardzo się mu nie podobała, zwłaszcza, że go już wprzódy nieustannemi skargami na złą drogę był oburzył: »Szkoda wielka,« rzekł do swojéj córki, »że tu nié ma pana Fronsaka.« (Ten pan Fronsak był owym spółzalotnikiem, o którym Gervais w liście pisanym do Gustawa wspominał.) »Byłabyś z nim *duet* zaspiéwała; możebyto temu panu lepiéj się podobało; pan Fronsak ma głos bardzo przyjemny.«

»To prawda, i bardzo się zgadza z głosem Klary;« dodała panna Celestyna złośliwie.

»Jeżeli tak, więc wam sprawię tę przyjemność, iż go przez dłuższy czas słyszeć będziecie,« rzekł pan Pomereuil, zmierzając do ożenienia. »A teraz, będąc chorym, prze-

praszam, iż się muszę oddalić. Radzę panu, byś to samo uczynił,« rzekł obróciwszy się do Gustawa. Ujechawszy sześć mil tak złą drogą, zapewne mocno jesteś strudzonym. Jestto rzecz bardzo naturalna. Szkoda, że aleja Bulońskiego lasku nie ciągnie się aż do mego zwierzyńca. A teraz dobranoc, moi panowie! To rzekłszy pan Pomereuil, oparty na ramieniu panny Klary, udał się bez wszelkiego zachodu do swojego pokoju.

W kwadrans poźniej, służący przy świetle dwóch świec woskowych, zaprowadził obudwóch przyjaciół do wielkiego pokoju, który był dla Gustawa urządzonym i stykał się z drugim, dla pana Gervais przeznaczonym.

»No,« rzekł tenże, skoro służący wyszedł, »jakże ci się dzień dzisiejszy podoba?«

»Zachwycił mię nad moje spodziewanie. Okolica jest prześliczną, pan Pomereuil wzorem grzeczności, panna Celestyna Wenerą, a panna Klara wirtuozką.«

»O! co się tego tyczé, nic powiedziéć nie możesz. Biédna dziéwczyna, życzyła sobie okazać swój talent; gdyż w istocie bardzo pięknie spiéwa. Postąpiłeś sobie bardzo niesłusznie.

»Być może. Byłem w złym humorze. Naprawię to jutro przed mym odjazdem.«

»Odjazdem?«

»A jużci; cóżbym tutaj miał robić? Panna Klara jest bardzo ładną, przyznaję, chociaż jéj długie blond włosy, cokolwiek za wiele na czerwony kolor połyskują, jéj przyjemna twarzyczka cokolwiek za mało ma wyrazu, a ja szczęścia, jéj się przypodobania. Ale jak ci wiadomo, uczuciom rozkazywać nie można; zresztą nie mógłbym ci dostatecznie powiedzieć, które uczucie dla mnie najnieprzyjemniejszém było od czasu, jakeśmy z twojego domu wyjechali. Przemokły, zgłodniały, przedziwotworzony, skąsany — sądzę, iż na tém przestać wypada. Jabym ci i trzy miesiący nie żył, gdybym w tém przeklętym zamku, z którego murów wilgoć i nudota wygląda, mieszkać był przymuszonym. Dla tego, kochany mój Gervais dziękuję ci serdecznie za wszelkie twoje trudy i dobre chęci; a proszę cię, postaraj się, abym jutro rano wyjechał; wszelako bez najmniejszego ubliżenia grzeczności.«

»Niech i tak będzie,« odrzekł Gervais tém pośpiesznem postanowieniem nieco urażony. Urządzę wszystko podług twego życzenia, młody mój przyjacielu. Masz jeszcze całą noc do namyślenia się zwględem twego zamiaru. Dobranoc.«

»Dobranoc.« Gervais poszedł do swojego pokoju, a Gustaw z tą przyjemną myślą układł się w łóżko, iż nazajutrz opuści ten posępny przebytek.

Była ósma godzina zrana, gdy Gustaw otworzył oczy i ujrzał jasność dnia, która się przez biały muszlin jego firanek przebijała. Zawierucha dnia wczorajszego ustąpiła miejsca jednemu z owych pięknych dni jesiennych, który z jasną pogodą lata, łączy w sobie przyjemne ciepło wiosny. W oczy Gustawa wpadła najprzód nadzwyczajna czystość w jego pokoju i ustawionych meblach, które lubo w gotyckim stylu, jednak przez odmianę smaku, znowu się modnémi stały. Tém bardziéj jeszcze ucieszył się, ujrzawszy obok łóżka na poręczy krzesła wiszące wysuszone swe suknie. Z rania, gdy jeszcze spał, korzystano z czasu i urządzono jego gotowalnię. Uwaga ta, jakkolwiek bardzo prosta, podobała się mu, gdyż się jéj nie spodziéwał. Wstał z łóżka pokrzepiony długim spoczynkiem, i był przezto samo już przysposobionym do przyjęcia wesołych uczuć, jakie nas zwykle przenikają podczas pięknego poranku. Właśnie zamyślał zejść na dół, gdy Gervais z przezornością, aby go nie zbudzić, wszedł do jego pokoju.

»A! wstałeś przecie, spiochu!« rzekł, »nie wiész, iż tu wszyscy już od dwóch godzin w ruchu. Czekałem na ciebie, aż dopokąd nie wstaniesz, by się z tobą przejść po zwierzyńcu. Pójdźmy, jest tam pan Pomereuil, poluje na zająca, którego ogrodnik dzisiaj rano wypłoszył.«

»A cóż się stało z jego reumatyzmem?«

»Już o nim zapomniał. Od czasu jak barometr podszedł w górę, pan Pomereuil powstał na nogi. Widzisz go tam na końcu lasu? jak się do zająca skrada!«

Gervais otworzył okno, a Gustaw zachwycony został widokiem, który się przed jego oczyma odsłonił. Z ogrodem, po którym uroczą barwę rozlały najpiękniejsze jesienne kwiaty, stykała się wielka, roztoczysta łąka, ocieniona tu i ówdzie smukłą, srébrną osiką. Zielona dąbrawa, po za którą wolno bujało oko, przerzynała tę łąkę, odsłaniając tylko

kominy i dachy małego miasteczka, rozłożonego po jéj głębinie. Patrząc wprost okiem, widać było, jak mały, krzewem okryty wzgórek, obrębiał widokrąg, podczas gdy na lewo wielki staw, a w niejakiém oddaleniu na prawo mała, na stroméj skale zawieszona wioska, kończyły obiedwie drugie strony obrazu.

»Jakże ci się podobała ta okolica,« rzekł Gervais, który postrzegł niespodziane zadziwienie Gustawa.

»Jest zachwycająca! Jakże się zowie ta przyjemna i malownicza wioska?«

»Rochefort. Tylko o dwie mile jesteśmy od Wersalu. Właściwie mieliśmy tamtędy jechać; bylibyśmy ominęli tę przeklętą drogę, która nam tyle zmartwienia sprawiła... Ale, ale! zapomniałem powiedzieć, żem już dzisiaj rano panu Pomereuil twe życzenie oświadczył, które mię wielkiego kłopotu nabawiło, albowiem nie jestto tak łatwą rzeczą dać komuś bez obrazy do zrozumienia, że się nam jego córka nie podoba. Szczęściem zastałem naszego pana teścia w bardzo dobrym humorze, uweselonego słońcem, które zdrowie mu wróciło, i zającem, którego tak był pewien, jakby go już w swojéj myśliwskiéj miał torbie. Powiedziałem mu, iż z wielkim żalem przymuszony jesteś odjechać jeszcze dzisiejszego poranku, dla zwidzenia o kilka mil oddalonéj ztąd włości, że go nie za długo znowu odwidzisz, jeżeli cię sprawa tego kupna niezwłocznie do Paryża nie wezwie; słowem, urządziłem wszystko w ten sposób, iż jako dobrzy przyjaciele i ludzie mający dobre wychowanie rozstać się z sobą możecie. Aby się porozumieć, na to niekoniecznie rozmowy potrzeba: już on o tém wié bez wątpienia, iż sobie wszelką myśl ożenienia się wybiłeś z głowy, i że znowu ręką swojéj córki podług woli zarządzić może. Otóż widzisz, kochany przyjacielu, iż jesteś wolnym i zadowolonym w swém życzeniu. Nie myślże teraz o niczém, jak tylko o sposobie, by jak najprzyjemniéj przepędzić tych kilka godzin, które jeszcze tutaj zabawić mamy; bo to się ma rozumieć, że ztąd nie wyjedziemy przed śniadaniem. Jestto ważny punkt mojego warunku, względem którego wyraźnie się oświadczyłem.« To rzekłszy wziął pod rękę Gustawa i zaprowadził go do zwierzyńca. Nie przestającc rozmawiać z nim o pięknéj pana Pomereuil posiadłości, zwracał jego uwagę na każdy piękny widok, zachwalał mu zwierzynę w obszernych jego kniejach, a w stawach stuletnie karpie.

Tymczasem pochwały te dla rozegrzania wyobraźności Gustawa nie były koniecznie potrzebne. Wszystko, co widział, zachwycało go, i sądzić należy, iż to było jedynie skutkiem łatwo urobić się dającego chararakteru jego. Przepyszna włość — śród któréj widać było pod owocem zginające się drzewa, obfitujące w trzody pastwiska, a przede wszystkiém to jasne słońce, które po całéj okolicy rozlało rozkoszne światło — okazała się téj chwili w całéj swéj spaniałości.

Gustaw szedł obok swojego przyjaciela w milczeniu, ale często je przerywał i w ognistych wyrazach objawiał swe podziwienie. Ta okolica, która wprzódy była dla niego tak smutną, stała się mu teraz czarodziejskim przebytkiem. Powracając z przechadzki, podziwiał spaniałą okazałość i szlachetny styl budowy zamku, z którego dniem wprzódy nic nie widział, tylko zalany wodą dziedziniec.

Gervais oddalił się od niego, dla wydania, jak mówił, do jego odjazdu potrzebnych rozkazów, a Gustaw, podając się odtąd wcale innym myślom, wracał zwolna do zamku. Żałował, iż Gervais tak skwapliwie wypełnił jego zlecenie. Wielką miał ochotę jeszcze przez dni kilka zabawić w téj spaniałéj okolicy. Życzenie jego nie tyczyło się wprawdzie Klary, bo widział w niéj tylko młodą, dobrze wychowaną, dość ładną, ale z resztą całkiem zwyczajną dziewczynę, przed którą bardzo śmieszną odegrał rolę. Opuszczał ją więc bez najmniejszego żalu; wszelako nie mógł przed sobą zataić, iż zachowanie się jego nie było przyzwoite, i że z trudnością przyjdzie mu oddalić się, jeżeli wprzódy swojego błędu nie naprawi. Zajęty takiemi myślami przyszedł do zamku. Zbliżył się do okień wychodzących z salonu na zwierzyniec, a usłyszawszy dźwięk fortepianu, zaczął się przysłuchiwać. Klara odgrywała wstęp do piosnki. Nie długo trwało, dał się słyszeć także jéj głos czysty i przyjemny; z tkliwym wyrazem uczucia śpiewała najprzód narodową dumkę, a potém wesołą, trelami ozdobioną kawatynę.

Gustaw stał osłupiały z zadziwienia; ale gdy Klara najpiękniejszą myśl kompozycyi z zachwycającym urokiem wygłosu oddała;

nie mógł się już dłużej wstrzymać, i z uniesieniem zawołał, jak gdyby był w loży opery włoskiéj: »*Brava signora, brava!*« Ta głośna, niespodziana pochwała zmieszała i spłoniła Klarę; przestała grać, a Gustaw, chwyciwszy się krawędzi okna, wskoczył do salonu.

»Do sto piorunów! a wćpan zkąd się tu wziąłeś?« zawołał Gervais, którego Gustaw w téjże chwili ujrzał siedzącego przy fortepianie. »Nie wiedziałem, że ludzie uniesieni zapałem muzyki, nawet przez okno wskoczyć mogą. Inaczéj nie byłbym śmiał prosić panny Klary, o zaspiéwanie piosenki.«

Gustaw nic nie słyszał, i zbliżywszy się do Klary, nalégał usilnie, aby raczyła spiéwu dokończyć; lecz Klara, pochwałą jego zmieszana, opiérała się wstydliwie, a któryto wstyd zdawał się mieć głębsze źródło.

»Pomóż mi wćpan prosić,« rzekł Gustaw do pana Gervais. »Nie godzienem, aby panna Klara miała jaki wzgląd na prośby moje; dnia wczorajszego pozbawiłem się samowolnie tego szczęcia. Dnia wczorajszego byłem bardzo niegrzecznym, nie prawdaż? Chciéj mi pani przebaczyć i nie karz mnie jeszcze dłużéj milczeniem swojém.«

»Napraw swój błąd panie Gustawie,« rzekł Gervais. »Jeżeli się nie mylę, jest tu *duet*, który nie dawno panna Klara z panem Fronsak spiéwała. Ciekawy jestem, ażali twój głos zgodzi się z głosem panny Klary.«

Gustaw nie był odznaczającym się spiéwakiem, ale był doskonałym muzykiem i miał smak wykształcony; w téj chwili sam siebie przewyszył; miękki spiéw Klary zelektryzował jego czucie; uniesiony zapałem, nadał głosowi swemu taką siłę i wyrazistość, że aż sam Gervais się zdziwił. I Klara podała się strumieniowi sympatyi. Gdy głos Gustawa połączył się z jéj głosem, zarumieniła się, jak gdyby nie o samym tylko połączeniu tonów pomyślała. Jednakże, gdyśmy nie zamierzyli pisać romansu, nie chcemy tu czytelnikowi natrącać moralnych i fizyjologicznych uwag nad tajemniczą władzą muzyki, która nagle w dwóch obojętnych sercach czucie miłosne obudziła. Już *temat* ten jest zużywany, i mówiąc otwarcie, aby nie rozminąć się z prawdą, nie bylibyśmy w stanie odsłonić uczuć, które w téj chwili w tych osobach powstały, gdyż i one same nie miały czasu zdać sobie z tego sprawę.

Basowe *brawo*, rozlegające się w témże samém oknie, w którém piérwéj słyszeć się dało tenorowe *brawo* Gustawa, przerwało melodyjne zakończenie *duetu*. Byłto pan Pomereuil, który niosąc w tajstrze ogromnego zająca, i wywiesiwszy z niéj chełpliwie jego skoki, wracał wesoło z polowania.

»Gdyby głód, który do żołądka mego natarczywy atak przypuszcza, nie przytłumiał we mnie wszelkiego do muzyki uczucia, mości Grandville, pochwaliłbym piękny talent waćpana, którego się bynajmniéj nie spodziéwałem; ale to na inny raz zostawię. Teraz pójdźmy do śniadania.«

»Dobrze powiedziano,« odezwał się Gervais powstawszy, »a zwłaszcza, iż ja tu zupełnie niepotrzebny jestem, a przy stole, przynajmniéj będę miał ukontentowanie okazać się na swojém miejscu.«

Jak smutnym był obiad dnia przeszłego, tak wesołém teraz było śniadanie. Pan Pomereuil, jakto Gervais słusznie o nim powiedział, był wybornym towarzyszem stołowym; a chociaż go rozmowa ranna nie w najlepszy humor wprawiła, nie dał jednak poznać, że go obeszła. Co większa, udawał nawet jak największą uprzejmość dla swoich gości; bądź w mniemaniu, iż przezto bynajmniéj nie ubliży swéj godności, bądź iż w saméj rzeczy z ukontentowaniem zrzekł się związku, który przestał dla niego być przyjemnym. I panna Celestyna była także w dobrym humorze. Gustaw był tyle przezorny, iż się pogodził z Azorem, i trzymał go na swych kolanach, a pasztet, na którym zbywało dnia wczorajszego przy obiedzie, dano teraz z wielkiém upodobaniem na śniadanie. Klara, widząc się szczęśliwą, iż tą razą w Gustawie znalazła oczekiwaną osobę, wtrącała się z rozsądkiem do potocznéj rozmowy. Nie miała ona wprawdzie tego świetnego rozumu, który się dowcipem iskrzy; ale miała ów rodzaj giętkiego umysłu, w którym zawsze mamy upodobanie, dla tego, iż się on własną naszą myślą ożywiać i własném naszém światłem rozgrzewać zdaje. Jestto prawdziwy rozum niewieści, któremu się rzadko oprzéć zdoła mężczyzna. I Klary piękność była tegoż rodzaju. Z początku nie widać było w niéj nic uderzającego; lecz wpatrując się dłużéj, ujrzałeś ją coraz bardziéj rozwijającą się i prawie w twoich oczach wzrastającą.

Gustaw w téj chwili uczuł całą potęgę tych powabów. Podziwiał jéj kibitność i anielską łagodność spojrzenia, w którém się jéj dusza malowała. Nie pojmował, jak na tyle powabów mógł być nie czułym. W słodkich tych myślach zatopiony, widział się szczęśliwym przy boku Klary. Zapomniał, iż się już zrzekł jéj ręki, i że za kilka chwil na zawsze ją ma opuścić. Okropnie ocknął się ze swojego marzenia, gdy zaraz po śniadaniu ujrzał na dziedzińcu zaprzężoną swą karjolkę. Zbladł na twarzy i spojrzał trwożliwym wzrokiem na pana Gervais; lecz ten, zatopiwszy się z panem Pomereuil w uczoną rozmowę o żywicy skalnéj, nie zważał na Gustawa. Obiedwie damy, nie postrzegły podobnież jego pomieszania; nawet nie byłby odgadnęły przyczyny, ponieważ pan Pomereuil, nie spomniał przed niemi ani słowa o odjezdzie Gustawa. Dla tego mocno to je zdziwiło, gdy Henryk z karyjolką przed ganek zajechał.

»Pan odjeżdzasz?« zawołała Klara zdziwiona.

»Tak jest, pani,« odrzekł Gustaw z zająknieniem; »ja — czyli raczej pan Gervais — nakłonił mnie...«

»Do zwidzenia pewnéj włości,« dodał Gervais, »którą kupić myślimy. Interes ten skończy się za dni kilka. Wtedy spodziewamy się, że do naszego przyjaciela Pomereuil znowu powrócimy; przynajmniéj ja wrócę niezawodnie.«

»Wćpan?« zapytała Klara.

»I owszem pani,« przerwał Gustaw, »Gervais powinien był raczéj powiedzieć, że ja powrócę. Wyrazić nie mogę, jak się niechętnie z tych miejsc oddalam. Doznałem tu tak życzliwego przyjęcia! Jestem tak szczęśliwym w tym domu! Zdaje się mi, jak gdybym się pośród mojéj rodziny znajdował.«

Pan Pomereuil nie pojmował, co oznaczać miała ta mowa; pytającym wzrokiem poziérał na pana Gervais; lecz ten był obojętnym. Nie zdawał się postrzegać ani mocnego wzruszenia Gustawa, ani pomieszania Klary, która z spuszczonémi w ziemię oczyma, to czerwieniła się, to znowu bladła.

»Odjazd ten, jest bardzo nie w porę,« rzekła panna Celestyna, »jutro mego brata imieniny, a ja spodziéwałam się, że pan Gustaw dzień ten u nas przepędzi.«

»Jako!« ozwie się Gustaw, »jutro pana Pomereuil są imieniny? Nie wiedziłem o tém bynajmniéj. Kochany Gervais, teraz nie możemy odjéżdzać; byłobyto ubliżeniem przyjaźni i wdzięczności. Co się dotyczé mego kupna, chętnie zrzekam się go w téj chwili i oddaję się zupełnie pod zarząd panny Celestyny w kierowaniu festynem. Nie moją będzie winą, jeżli się nie powiedzie. Urządzimy bal wiejski: ja podejmuję się złożyć orkiestrę; Gervais gra bardzo dobrze na basetli, a ja dosyć dobrze na trąbie. Napiszę wiersze na ten dzień uroczysty; wieczorem wyprawimy koncert: panna Klara ma tak prześliczny talent. Szkoda, że nie mogę zabawić przez dni ośm, wystawiłbym teatr na prędce; jestem bowiem, gdy potrzeba, i budowniczym i malarzem. Nareszcie, czegożbym nie uczynił dla przekonania tak łaskawego ojca panny Klary! jak głęboki jest mój szacunek, wdzięczność — i —«

»O, jestem zupełnie przekonanym, mój panie,« odrzekł pan Pomereuil, przerywając w sam czas mowę Gustawa, który w sentymentalném uniesieniu coraz bardziéj tonął. »Niespodziana gorliwość wćpana jest bardzo dla mnie zaszczytną.«

»Henryku!« zawołał Gustaw przez okno; »wyprząż konie; zostaniemy.«

»Atoli,« rzecze dalej gospodarz domu, gdy Gustaw oddalił się od okna,« muszę wćpanu naprzód powiedzieć, iż nie sam tylko festyn ten urządzać będziesz. Dziś rano napisałem do mojego sąsiada, pana Fronsaka, jak wćpanu to zapewne pan Gervais oświadczył. Zaproszenie moje jest dosyć pochlebne, pan Fronsak przyjmie je niezawodnie z radością.«

Tą razą przeraził się Gustaw w samej istocie, usłyszawszy imię Fronsaka. Miał się już za zgubionego; albowiem widać było oczewiście, iż ojciec Klary w tym zamiarze wezwał pana Fronsaka, aby go zaślubić z swoją córką. Każde wrażenie na umyśle Gustawa skutkowało bardzo pospiesznie, aleteż i postanowienie jego było równie jak polot myśli rącze. Nie było czasu do stracenia, dla tego postanowił uderzyć wprost do celu; spojrzenie Klary, która w téj stanowczéj chwili bez wątpienia odgadła jego myśli, dodało mu odwagi.

»Mości Pomereuil,« rzekł Gustaw, »zachowanie się moje jest zapewne osobliwszém w oczach jego; ja sam zaledwo pojąć je mogę. Zdaje się mi, jak gdybym się z niemiłego snu przebudził. Byłem nierozsądnym, otóż wszy-

stko, co powiedzieć mogę. Wiadome są mu nadzieje, które powziąłem, i od których teraz całe moje szczęście zawisło. Zapomniéj o wszystkiém, co się stało. Miéj na względzie tylko moję miłość do panny Klary, i zawierz méj przysiędze, że ją uszczęśliwić pragnę!«

»Za późno,« ozwał się ojciec Klary. »Za chwil kilka przybędzie tu pan Fronsak, a wćpan sądzić nie możesz, żem go dla tego tu sprowadził, aby świadkiem był na weselu wćpana.«

Gdy to wyrzekł, w téjże chwili dał się słyszéć głos dzwónka u bramy. Gustaw zadrżał, a Gervais poskoczył do okna. »Otóż i on,« rzekła panna Celestyna, klasnąwszy w ręce.

Omyliła się. Byłto domowy służący, którego wkrótce przez dziedziniec idącego ujrzano. Wypadek ten, jakkolwiek prosty, jednakże wielki wpływ wywarł na tę scenę, i rozwiązanie jéj przyspieszył. Klara, usłyszawszy głos dzwonka, myślała podobnież, że pan Fronsak w saméj rzeczy przybył, którego dotychczasowa miłość, teraz jéj nienawistną się stała. Serce jéj przeniknęła tak wielka trwoga, iż padła omdlała na krzesło — z niemałym przestrachem panny Celestyny i wielkiém zadziwieniem pana Pomereuil, który dopiéro teraz o jéj miłości coś wnioskować zaczął. Gustaw ledwie się mógł posiąść z radości. Przekonany, że jest kochanym, przybliżył się do Klary i z niewymowném uczuciem ujął obie jéj ręce; potém obróciwszy się do pana Gervais i panny Celestyny, prosił ich jak można najtkliwiéj, by się za nim wstawili.

Wćpan sam widzisz,« rzekł do zdziwionego ojca, »że panna Klara nie kocha pana Fronsaka. Już sama bojaźń ujrzenia go, wprawiła ją w stan, w którym się teraz znajduje. Chceszże poświęcić swoję córkę, która twoje szczęście stanowi? Nie, tego nie uczynisz, nie spodziewam się tego!«

To rzekłszy zwrócił się do Klary: »Pani, jeżeli mię serce moje nie myli, jeżeli to jest prawda, że ci miłość moja nie jest obojętną, chciéj połączyć ze mną swe prośby. Powiédz swojemu ojcu —«

Co to, wypraszam sobie,« rzekł pan Pomereuil głosem tak dobitnym, że Gustaw mówić przestał. »Wiém ja co mam czynić, i co do mnie należy. Nie sądź wćpan, iż zachęcając córkę moję do nieposłuszeństwa, zniweczysz postanowienie moje.«

»Za pozwoleniem,« odezwał się Gervais, który dotąd grał tylko rolę obojętnego. »Należy doświadczyć, ażali tu nié ma jakiego środka, abyśmy się porozumieli. Tych dwoje ludzi kocha się, o tém nié masz żadnéj wątpliwości, i z każdego względu są dla siebie stworzeni. Panna Klara jest miłą, a Gustaw, pominąwszy żywość jego i napady urojenia, którego nie zawsze bywa panem, jest przyjemnym młodzieńcem, którym tylko rozsądnie zakierować należy; znam ja charakter jego, i przekonany jestem, że panna Klara doskonale z nim się zgadzać potrafi. Nie widzę więc przyczyny, dla czegobyś wćpan miał się sprzeciwiać ich połączeniu.«

»Wćpan nie widzisz przyczyny?« zapytał pan Pomereuil rozgniewany. »Toż wćpan także tracisz głowę? Cóż powiém panu Fronsakowi, gdy tu przyjedzie?«

»Prawda, rozumiém, iż z powodu pana Fronsaka jesteś w wielkim kłopocie. Jednakże połóżmy, jeżeliby nie przyjechał?«

»Ale niezawodnie przyjedzie, jestem tego pewien. List mój —«

»A gdyby też list wćpana był jeszcze tutaj — był w mojéj kieszeni?«

Gustaw skrzyknął z radości, Klara podskoczyła do góry, panna Celestyna otworzyła gębę i wypatrzyła się z zadziwienia. Pan Pomereuil stanął jak słup milowy na rozstajnéj drodze.

Gervais od wszystkich obstąpiony, śród zapytań i uścisków, zaledwo zdołał opowiedzieć; jakim sposobem odebrał list od posłańca, który miał z nim jechać do pana Fronsaka; dodał także, iż znając charakter Gustawa, wiedział dobrze, że cała sprawa inny obrót weźmie. Wieczorem tegoż dnia szczęśliwego, uradowany Gustaw podziękował swojemu przyjacielowi za wyświadczoną przysługę; poznał bowiem, iż tylko jemu winien był wdzięczność za otrzymanie ręki Klary.

»Jestto rzecz osobliwsza,« rzekł Gustaw, »jaka we mnie od wczoraj zaszła zmiana! Zaledwo ją pojąć mogę. Zdaje się mi, iż wszystko w około mnie inną postać i barwę przybrało. Gdziem wprzódy tylko sam smutek i nudotę znajdował, teraz wszystko uśmiécha się do mnie i szczęście mi zwiastuje. A to wszystko dzieje się z tego powodu: żem wczoraj był obojętny, a dzisiaj — jestem zakochany!«

»Ja bynajmniéj nie przeczę temu,« odrzekł Gervais, »ale i to, sam przyznasz, nie mało wpływu miało: że wczoraj d é s z c z p a d a ł, a dzisiaj p o g o d a!«

KOLEJE W BELGYI.

Z pamiętników pewnego podróżującego.

Nie mógłem się oddalić z Bruxelli, a w ogólności z Belgii, tego największym przemysłem na stałym, europejskim lądzie odznaczającego się państwa, nie przejechawszy się wprzódy po żelaznych jego kolejach, które w naszych czasach tak sławnemi się stały. Doznałem wielkich trudności w uskutecznieniu mego zamiaru; albowiem więcéj półtora tysiąca ludzi jednegoż ze mną było życzenia, i ze wszystkich stron, bądź pieszo, bądź konno, bądź w omnibusach do ogniska żelaznych kolei spieszyli. Ze wszystkich ulic miasta sypali się rojem na miejsce, gdzie były do nabycia bilety; bo chociaż ośm osob je rozdawało, i dla poskramiania wielkiego natłoku, na straży nie zbywało, przecież on burzliwą i rzeczby można zbuntowaną przedstawiał tłuszczę. Zewsząd widać było tylko chęcią jazdy rozognione twarze i wyciągnione ramiona; bez ustanku słychać było na przemiany wrzaskliwie odzywające się głosy: »*Ah, mon Dieu! ils me*

pressent ! — ils m'ecrassent! — une voiture pour Anvers! un phaeton pour Gand! un landeau pour Louvain!«

Szczęściem, że urzędnicy rozdawający bilety obwarowani byli mocną kratą, w której owalne otwory się znajdowały; przez takito otwór wysuwa urzędnik rękę, i odebrawszy pieniądze, wydaje bilet żądany.

Pojedziesz lub nie pojedziesz? Otóż wielkie pytanie, które w tém miejscu się roztrzyga. Dwadzieścia rąk ciśnie się w jednéj chwili, a przez natłok i potrącanie pełzną najpiękniejsze nadzieje. I w tém miejscu zdarza się najczęściéj, iż przemoc i przypadek mają prawo za sobą i odnoszą zwycięztwo.

Podczas tego zgiełku odzywa się głos dzwonka. — Nadeszła nieszczęsna chwila, po której nie czekają ani minuty, a po jéj upłynieniu pozostający, muszą z cierpliwością na drugą oczekiwać jazdę. Ja miałem to szczęście pozyskać dla siebie miejsce, i swobodnie mogłem używać owocu mojego trudu. Całe towarzystwo podróżne składało się przeszło z 1.800 osób obojéj płci różnego wieku, stanu i zarobku. Gdyby żelazna kolej ta była nas zaniosła na pustą wyspę, karawana ta byłaby dostateczną do zaludnienia całego miasta. Na przodzie długiego rzędu powozów (waggonów) dwie olbrzymie machiny wydawały przytłumiony ryk, wychodzący z ich wnętrza; czarny, gęsty dym, buchający z ich nozdrzy parskających rzęsistemi iskrami, zapowiadał niecierpliwość, tych szczególnych, nieskrowitych, a jednak tak posłusznych rumaków. Sądzę, iż najlepsze mogę dać wyobrażenie o pospiechu naszéj jazdy, gdy powiem, żeśmy jak wiatr lecieli. Porównanie to jest wprawdzie zwyczajne, lecz istotne; gdyśmy bowiem wyjeżdzali, wiał wiatr południowy, a podczas naszéj jazdy zaczął nagle dąć z północy. Rzeczą istotną jest to, żeśmy w sześciu minutach jednę pocztową milę (4 kilometry) ujechali. Niechże więc czytelnik tę spieszną jazdę naszę sam obliczy. Chciałem pojrzeć na gościniec, po którymeśmy lecieli; lecz oko się zciemniło, głowa się zawróciła, a przeto niepodobna było wykonać tego zamysłu. Drzewa jak działowe kule przemykały; na żaden sposób na bok spojrzeć nie mogłem, byłem więc przymuszonym zwracać oko zawsze naprzód siebie w odległość. Wsie, lasy, góry pojawiały się i nikněły w okamgnieniu; zdawało się, iż wszystko w nieustannym było tańcu. Nie czując by najmniejszego wstrząśnienia, siedziałem sobie wygodnie oparty na poduszce, jak gdybym się na miękkiéj sofie w mym pokoju rozpierał.

Zaledwie miałem czas o czémeś pomyślić, a jużeśmy w Malines stanęli. Tu jest punkt centralny tej wielkiéj, żelaznéj siatki, z któréj wszystkie wychodzą nitki i na wszystkie końce się rozbiegają. Ten punkt centralny składa się z wielkiéj równiny, poprzerzynanéj nowemi kolejami, pomiędzy któremi stoją spaniałe magazyny, gmachy urzędowe, domy gościnne i t. d. Równina ta jest o sześć mil od Malines oddaloną, ponieważ tameczny magistrat miejski, nie bardzo sprzyjający postępom wynalazków, nie chciał zezwolić na założenie tegoż ogniska kolei żelaznych w samém mieście; ale podobno pożałuje swego uporu, gdyż wkrótce w tém miejscu utworzy się nowe miasto, a dawne Malines opuszczoném zostanie.

Na téj równinie zbiegają się zewsząd powozy dla wymiany podróżnych i przywiezienia ich na pożądane miejsce. W chwili naszego przyjazdu przybyli podróżni z Antwerpii, Leodyi, Gandawy i Bruxelli; umilające słońce oświecało tę scenę, która przewyższa wszelkie wyobrażenie; towarzystwo nasze składało się więcéj niż z trzech tysięcy ludzi, którzy jednéj chwili ujrzeli się w to miejsce przeniesionymi: bogacze, ubodzy, młodzież, starcy, wojskowi, urzędnicy, węglarze, eleganci, damy, wieśniaczki w dziwnéj mieszaninie tworzyli widok, którego opisać niepodobna.

Zagrzmiała trąba... a zmieszana, różnobarwna ludność ta tworzyła znowu tylko cztery linije prześlicznych powozów — za chwilkę wszystko zniknęło, równina opróżnioną została, a więcéj niż trzy tysiące ludzi uleciało na wszystkie końce kraju; atoli nie długo czekać trzeba, a taż sama równina zaludnia się znowu innymi podróżnymi.

Belgija przez założenie kolei żelaznych we trzech latach cały stały ląd zelektryzowała. Linije idące przez Antwerpiją, Gandawę, Malines, Tirlemont aż do granic się ciągną. Wszystkie sąsiedzkie państwa podają im ramiona; Francyja otwiéra dla nich Paryż; Prussy już aż do Kolonii liniję pociągnąć się zobowiązały. Nie za długo można będzie w dziesięciu godzinach dostać się z Bruxelii do Paryża (250 mil), a potem do Berlina, Warszawy, Petersburga, a w przeciągu dziewięciu do dziesięciu dni przez Wiédeń i Medyjolan do Neapolu.

Zaiste, koleje żelazne utworzone są dla tego, aby wszystkie narody, zbliżywszy się do siebie, bratnie sobie dłonie podały. Lecz będęż ja mógł tak serdecznie przycisnąć do mego serca równie Rossyjanina, Turka, Francuza, jak przyciskam mego rodaka? Może nie ja, lecz moje dzieci.

— Ze Lwowa. —

Dzieła umniczo-opisowego, wydawanego n Piotra Pillera: *Galicyja w obrazach,* wyszły zeszyty VII. i VIII. i zawiérają: VII. *a)* Widok cérkwi metropolitalnej S. Jérzego, we Lwowie; *b)* Zamek w Krasiczynie, w obwodzie przemyskim; *c)* Rozwaliny Skitu, monasteru Bazylianów, w cyrkule stanisławowskim; *d)* wies Stronibaby, w cyrkole złoczowskim. — VIII. *a)* C. k. wojskowy zakład pływania, we Lwowie; *b)* Kamień pod Uryczem, w cyrkule stryjskim; *c)* Miasteczko Dukla, w obwodzie jasielskim; *d)* Włość Łabodów, w obwodzie złoczowskim. — Rysowaniem i litografowaniem widoków zajmowali się w tych zeszytach pp. Auer, Engert, Lange, Nigroni, a mianowicie A. Gorczyński, którego rysunku jest Dukla; — razem poeta i zwolennik sztuki rysowniczej, znany w nowszej literaturze naszéj pod nazwiskiem Jadama z Zatora. S. J.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego wyszedł N. 37. i obejmuje przedmioty następujące: 1) O wyleganiu zboża. 2) O rzepaku. 3) O koniach arabskich (dokończenie). 4) Gospodarstwo stawowe. 5) Zapytanie do powszechności dla osiągnienia jak największego z ziemniaków i z pszenicy pożytku: w wyrabianiu tychże na krochmal, syrop, lub gorzałkę i inne napoje.

Znany powszechnie jako znawca i opiekun muzyki w Warszawie, pan Józef Cichocki, redaktor *Dziennika muzycznego,* zajmuje się obecnie wydaniem zbioru dawnych kościelnych kompozycyj polskich. W pierwszym zeszycie znajduje się ośm psalmów Gomułki z r. 1580, w drugim msza Grzegorza Garczyckiego. — Słynny Oleszczyński pracuje obecnie nad rytowaniem na stali portretu lorda Dudley Stuarda. — Szacowne pismo: *Wiadomości historyczne i literackie* donosi o wyjściu nowéj powieści, mającej nazwę: *»Wędrówka po Wielko-Polszcze i Mazowszu,«* przez Ludwika z Krzewia. — Siódmy zeszyt *Dykcyjonarza jeograficznego,* przez Słowaczyńskiego wydawanego, wyszedł z druku. *(Poznański Tygod. Liter.)*

Zawiązane w Jassach towarzystwo literackie, trudniące się, jak już donosiliśmy, przekładem na język ojczysty dzieł obcéj literatury, zajmuje się właśnie tłumaczeniem dramatów Józefa Korzeniowskiego.

Z Poznania. Dnia 21. czerwca zszedł z tego świata Jan Chrzciciel Krzeski, były nauczyciel matematyki i fizyki przy gimnazyjum tutejszém, dożywszy lat 85 — ostatni nauczyciel z czasów Stanisł. Augusta.

Krzeski rodził się w Sandomirskiém r. 1753. W młodości swéj zwidzał szkoły we Lwowie i Zamościu, a po chlubnie skończonym biegu nauk szkolnych udał się na wszechnicę krakowską, słynącą wówczas doborem głośnych w świecie naukowym profesorów, pod których kierunkiem Krzeski matematyce i naukom przyrodzonym się poświęcał. (G.P.)

Badania Herschla na przylądku Dobréj Nadziei. Filomatyczne towarzystwo w Londynie na jednem z swych ostatnich posiedzeń słuchało z wielką ciekawością udzielonych sobie przez pa. Robinet szczegółów o astronomicznych odkryciach sir Johna Herschla na przylądku Dobréj Nadziei. Podług tego sławnego astronoma, tamta półkula jest daleko bogatsza w gwiazdy, a miannowicie w plamy mgliste, niżeli nasza. Astronom ten uważał wszystkie owe plamy mgliste, to jest: wszystkie owe niepoliczone gromady gwiazd, których *Mléczna droga* na naszém niebie tak ogromny przykład nam stawia. Zwracał on także swą uwagę na owe podwójne gwiazdy, owe ciekawe systema, które z dwóch, jedno w około drugiego krążących słońc są złożone, i które tak długo miane były za gwiazdy. Obroty ich przekonały go, że przez Newtona odkryte zasady ciężenia tak dobrze kierują temi w niezmiernej odległości krążącemi ciałami, jak i planetami naszego systemu. Za pomocą tych od nie dawna na niebie wyśledzonych poruszeń, można także ocenić bieg naszego systemu w przestrzeni. Albowiem teraz wielkiém jest podobieństwem do prawdy, iż nawet nasze słońce nie jest jak tylko gwiazda, która w długim szeregu wieków dokonywa swego obiegu w około drugiego słońca, z którém razem podwójną gwiazdę stanowi. Sir John Herschel udowodnił, iż niektóre z tych gwiazd w przeciągu 40 lat swój obieg kończą, tak dalece, iż za pomocą dwóch podobnych obliczeń, przez oznaczenie rozmaitych stanowisk gwiazdy, oznaczyć można w miesiącu nawet dzień, w którym uczyniono to postrzeżenie. Sir John Herschel widział żółte, niebieskie, czerwone, zielone i tym podobne plamki mgliste, nie dostrzegł jak tylko dwa trabanty Urana, któremu dotychczas sześć przypisują, i rozmierzył ich obieg. Miał także sposobność uważania zadziwiających postępów gwiazdy Argo, któréj blask z taką szybkością się wzmaga, iż w mniejszym przeciągu niżli cztery miesiące, z gwiazdy drugiéj wielkości przeszła w gwiazdę pierwszéj wielkości. Nie wiedzieć jeszcze kiedy ten wzrost przestanie. Ogromny dalowid źwierciadlany, którego sławny angielski astronom ten używał do swych postrzeżeń, służył mu tylko przez cztery nocy; po upływie tego czasu potrzeba było znowu polerować źwierciadło.

Pamiątka złotego wieku literatury niemieckiéj. W zamku Wajmarskim wielka-księżna na pamiątkę mężów złotego wieku literatury niemieckiéj, kazała odmalować *al fresco* kilka pokoi, jeden pokój ozdobiony obrazami z poezyi Szyllera, drugi z poezyi Wielanda, trzeci odpowiedni dziełom Herdera, a czwarty pokój jest zapełniony obrazami z poezyi Götego. Na podwojach téj sali są już umieszczone starożytne płaskorzeźby, dotyczące się *Ifigenii,* których wielki-książę nabył we Włoszech. Cała kunsztowna ta robota dopiero rozpoczętą została, tylko w pokoju Szyllera niektóre ściany są prawie ukończone; mianowicie ostatnia scena z *Fieska,* w któréj Weryna chwyta za płaszcz książęcia, podobnież ostatnia scena z *Don Karlosa,* w któréj królewicz żegna się z królową, i scena z *Wallensztajna,* w któréj Friedland rozłącza dwoje kochanków. Wszystkie te trzy obrazy są już po części ukończone.

Botaniczny ogród w Paryżu. Sławny ten botaniczny ogród, w r. 1625 założony, który od czasu zarządu Cuviera bardzo wiele zyskał tak co do ilości, jakoteż doboru swoich zbiorów, wymaga na utrzymanie swoje w przeszłym roku kwoty 472.350 franków. Na odczyty w tymże ogrodzie uczęszcza około 1800 słuchaczy. Zbiór zoologiczny obejmował już przed pięciu laty 152.000 numerów, zielnik 350.000 roślin, zbiór owoców i drzew 4500 numerów, zbiór kruszców 60.000 Roczne pomnożenie w ogóle wynosi około 30.000 przedmiotów. Biblioteka posiada około 30.000 tomów. Lecz do najkosztowniejszych przedmiotów w tym instytucie należy zbiór rysunków w r. 1653 założony, zawierający już dotychczas 80 zeszytów map, w których się więcéj niż 6.000 kart z oryginalnemi rysunkami na welinowym papierze znajduje, i które więcéj niż na dwa miliony franków cenią. Z roślin żyjących obecnie w ogrodzie znajduje się 12.000 gatunków, nie licząc w to różnych dubletów. Widać tu jeszcze palmę Ludwika XIV., a między innemi roślinami znajduje się trzcina bambusowa, która w przeszłym roku wypuściła latorośl, mającą 18 stóp długości. Liczba źwierząt ssących, w salach zoologicznych, wynosi 5.000.

Piękny męczyzna. Ze wszystkich zwierząt, które nam historyja naturalna wylicza, piękny męczyzna jest najgłupszym i najnudniejszym na świecie. Jeden tylko paw' w rodzinie zwierząt domowych ma wielkie z nim podobieństwo. — Piękny męczyzna, równie jak paw', roztacza zawsze kolisty ogon, podziwia się, i ma się za bardzo pięknego. — Piękny męczyzna jest zawsze w odznaczający się sposób głupi; jeżeli tylko z wdziękiem wąsik pokręcić i licobrodki pogłaskiwać umie, już jest dowodem, że odebrał bardzo troskliwe wychowanie. — Piękny męczyzna troszczy się tylko o piękność zewnętrzną, to jest: o piękność swéj postaci, którą co chwila jak niestateczny zegarek nakręca. — Piękny męczyzna jest zbiorem najpiękniejszych rzeczy na świecie: włos najstaranniej umuskany, z jednego boku w kędzior zapieczony, okrywa jego próżną mozgownicę; jego twarz jestto malowany księżyc w pełni, kosmatą łuną otoczony; jego piękne oczy patrzą spaniale, j dnakże rozum z nich nie wygląda; cała jego persona jak byblem wygładzona, zawsze w równowadze, stoi na pięknie ociosanych nogach, i w śklisto woskowanych bótach. — Pięknego męczyznę już z daleka poznać możesz; widać na nim zawsze coś tak błyszczącego, coś tak osobliwszego, co przed nim nieustannie woła: »Z drogi! z drogi! oto idzie piękny męczyzna.« — Piękny męczyzna jest zawsze, nito ogród publiczny, pięknie wychędożony, pięknie wyczyszczony, wszystko na nim podług sznura na grządki podzielone. — Piękny męczyzna nosi zawsze kędziorek w kształcie trybuszona, i kapelusz na jednę stronę przechylony; na piersiach i na palcu ma zawsze coś świécącego, a w ręku laskę ze złotą gałką. — Piękny męczyzna pogardza wszystkiem, co nie ma w sobie równéj jemu piękności. — Największe ukontentowanie pięknego męczyzny jest natenczas, kiedy ten wykrzyk usłyszy: »Ach, co to za piękny męczyzna!« Z resztą wszystko dla niego jedno, kto to mówi, czy ta pochwała z przedpokoju, czy z kuchni słyszeć się dała. — Piękny męczyzna umiera zwykle na apoplexyję, gdy piękniejszego od siebie obaczy. W dzień Zmartwychwstania wszelki duch się zgromadzi, lecz na jego ducha nadaremnie czekać będą. — Pięknego męczyznę zastaje śmierć odświeżaniem szczątków swojéj piękności zajętego; wtedy — o! zapłaczcie piękne panie! — wtedy brzydkim i starym umiera ten, który niegdyś był tak młodym i pięknym! Wszystko na świecie doznaje odmiany, sam tylko piękny męczyzna wolny od téj reguły: on żył i umiera — jako niemiłosiernie głupi członek ludzkiego społeczeństwa!

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*